

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/polskie-sily-zbrojne-po/67407,Dialog-o-Dowodcy.html>



Wizyta generałów Kazimierza Sosnkowskiego i Władysława Andersa w Watykanie, 28 lipca 1944 r. Fot. AIPN

ARTYKUŁ

Dialog o Dowódcy

Autor: GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI, JÓZEF CZAPSKI 08.09.2020

W roku śmierci Generała Władysława Andersa na łamach paryskiej „Kultury” ukazała się drukiem okolicznościowa, wspomnieniowa rozmowa o Zmarłym, którą odbyli Gustaw Herling-Grudziński i Józef Czapski.

Gustaw Herling-Grudziński: W dniu wyjazdu na pogrzeb generała Andersa poczta przyniosła mi świeży

numer „Tygodnika Powszechnego” z felietonem Andrzeja Kijowskiego *Nasza wojna trojańska*. Czytałem go w drodze z Neapolu na Monte Cassino.

W majową niedzielę mieszkańców kamienicy warszawskiej budzą rano ślepcy muzyką skrzypiec i harmonii. Śpiewają piosenki wojenne, wśród nich popularną piosenkę o bitwie montecassińskiej. Posłuchaj refleksji Kijowskiego:

„Wojna nasza trojańska. Kto był jej żołnierzem, kto nią kierował, kto był więźniem, kto się przez nią tułał, kto jej się tylko przyglądał z ukrycia, komu wzięła dzieciństwo, komu je tylko zatruwają cudze o niej wspomnienia, wszyscyśmy coraz bardziej wobec niej równi, bo nas jednako od niej czas oddala, nikogo z nas wszakże nie uwalniając od zależności, jaką nakłada ona naszym duszom ... Wszystkie poważne między nami konflikty wzbudzają echa tej wojny już dawno minionej, jakbyśmy z niej, niby z ukrytej siłowni, wciąż pobierali prądy, wstrząsy, bodźce. Nie tylko o międzynarodowych konfliktach myślę, które wynikają z niezadowolonych do końca spraw politycznych, lecz także o konfliktach powstających z przeciwstawienia zasadniczych postaw wobec życia społecznego, wobec życia w ogóle... Gdy młodzież powstaje przeciw władzom, jak dwa lata temu we Francji i w innych krajach, albo gdy syn kłóci się z ojcem, co może zdarzyć się przy każdej kolacji, konflikt taki, jeśli nabierze rozpędu, powagi, zawsze jakoś i któryś, pokręconym swoim odgałęzieniem, połączy się z tym, co się ćwierć wieku temu zakończyło. *I Poszli Szaleni Uparci* – śpiewają ślepcy, lecą monety w papierkach, dzieci je podnoszą i wtykają muzykantom w kieszenie. Ta wojna wydusiła z ludzkości (w Europie) maksimum cierpienia, wysiłku i dzielności, stając się miarą wszystkiego, co człowiek może... Jak prosto było wtedy wybrać słuszną sprawę, i jak łatwo wierzyć w jej wygrana. Tak nam się przynajmniej dziś wydaje.”

Kończy się warszawski koncert podwórzowy, ślepcy przysiadają na murku okalającym przedszkolny ogródek, przebierają monety w palcach z głowami uniesionymi ku młodemu słońcu.

Podczas pogrzebu Dowódcy na Monte Cassino często unosiliśmy głowy ku młodemu wiosennemu słońcu, przebierając w palcach dawno minione lata. Ślepcy ze swoim wojennym groszem wspomnień złych i dobrych, zawiedzionych nadziei, straconych złudzeń? „Ukryta siłownia”, z której wciąż płyną do Polaków wyczuwalne palcami „prądy, wstrząsy, bodźce”? Setki ludzi na białym tle cmentarza, wielu w otrzepanych z naftaliny mundurach wojskowych.

Byłem tu w sierpniu ubiegłego roku, na obchodzie dwudziestopięciolecia bitwy. Napisałem wówczas, że jest to ostatni rozdział emigracji wojennej. Teraz jeszcze epilog: grób bodaj dokładnie w tym samym miejscu. gdzie przed dziewięcioma miesiącami siedział Generał, żegnając się ze swymi żywymi i umarłymi żołnierzami.

Podczas pogrzebu Dowódcy na Monte Cassino często unosiliśmy głowy ku młodemu wiosennemu słońcu, przebierając w palcach dawno minione lata. Ślepcy ze swoim wojennym groszem wspomnień złych i dobrych, zawiedzionych nadziei, straconych złudzeń?

Naturalnie wspomnienia wracają do rosyjskiego etapu drogi. Dotarłem do formującej się w Ługowoje, w Kazachstanie, 10 Dywizji na początku marca 1942 roku, po półtoramiesięcznej wędrówce z łagru nad Morzem Białym. U kresu sił, w łachach obozowych, wygłodniały, pokryty wrzodami. Skierowano mnie do namiotu, w którym było paru postawionych już jako tako na nogi żołnierzy, też więźniów czy zesłańców, pozwolono mi nazajutrz przeleżeć na sienniku pobudkę. Nie należy, grzebiąc w pamięci, wstydzić się akcentów sentymentalnych. Kiedy usłyszałem chóralny śpiew po polsku, dziękowałem Bogu, że jestem w namiocie sam. Może wszyscy ci półżywi tułacze z łagrów i zesłania płakali pierwszego dnia po przebudzeniu w wojsku? Byliśmy armią więźniów dowodzoną przez więźnia i odbudowywaną za oporną zgodą nadzorców więziennych. Mówię „za oporną zgodą”, bo zdarzyło mi się raz w drodze z łagru poprosić w jakimś dowództwie sowieckim o pomoc w dalszej podróży; nakłaniano mnie tam, żebym machnął ręką na wojsko polskie i wstąpił do *Krasnoj Armii*.

Józef Czapski: Byłeś na pogrzebie Generała, pożegnałeś go na Monte Cassino, o które ty się biłeś pod jego rozkazami (ja wtedy „roznosiłem gazety”) – zazdroszczę ci.



Premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill rozmawia z gen. Władysławem Andersem podczas wizyty na stanowisku dowodzenia

II. korpusu, sierpień 1944 r. Fot.

AIPN

Śmierć Generała, która już od dłuższego czasu zdawała się tak nieuchronnie bliska, dotknęła mnie więcej niż oczekiwałem, zmierzyłem moje do tego człowieka przywiązanie, ale to było więcej, to było uczucie zerwania nici, która w ostatnich latach już bardziej symbolicznie wiązała przecie nas wszystkich. Jego losy, jego czyny to była nasza historia.

Mówisz o powracających wspomnieniach rosyjskich, o twojej wędrówce ostatnimi siłami z „innego świata” do wojska, w tych paru zdaniach, mówiąc o sobie, mówisz o losie tysięcy Polaków, spływających do wojska z całego ZSSR. Ilu do tego wojska nie doszło. „Gdyby się zaczęło tworzyć wojsko polskie gdziekolwiek, na kolanach bym do niego dotarł” – powiedział mi jeszcze w Starobielsku mjr Adam Sołtan, szef sztabu Generała Andersa podczas kampanii wrześniowej. Nie ziściło się to marzenie dla niego i iluż innych, ziściło się dla nas.

W moim wspomnieniu o Generale dominuje ten rosyjski etap. Wtedy dopiero zobaczyłem człowieka, odczułem jego miarę, nie „Kmicica”, w którym kochały się wszystkie kobiety (jakim go widziałem w 1917), ale dowódcy.

Utykający, o lasce, z cerą ziemistą, przybył do nas do Griazowca prosto z Łubianki i powołał nas znowu do czynnej służby. To był koniec sierpnia 1941.

Po kilku tygodniach, kiedy już w tworzącej się armii naszej na południu niepojęta nieobecność wszystkich oficerów i podoficerów z trzech obozów: Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa (z wyjątkiem 400 w Griazowcu) stała się naszą obsesją, Anders mianuje mnie kierownikiem poszukiwań zaginionych oficerów i żołnierzy. Ponad pół roku wówczas, pracując pod jego bezpośrednimi rozkazami, mam czas go obserwować. Uderza mnie jego spokój, koncentracja, opanowanie odruchów i zmysł – gdy tego potrzeba – natychmiastowej decyzji. Pochłonięty tworzeniem armii, w warunkach pozornie niemożliwych, Anders zdaje się – nawet wówczas – nie tylko nie zapominać o poszukiwaniach, o reklamacjach oficerów i żołnierzy, ale dawać tej sprawie pierwszeństwo. Na każdą wieść o śladach, o nadziei śladów nieprzybywających kolegów, Generał reaguje natychmiast. Angażując się całkowicie, narażając się najwyższym czynnikiem sowieckim, stawiając im nieustanne żądania, zasypując władze sowieckie telegramami, żądając od naczelników obozów, od wszelkich instancji NKWD, wypuszczenia bez zwłoki wszystkich Polaków. Katyń nawet z imienia był nam wówczas nieznany. Niemniej, myśląc o tamtej epoce, odruchowo myślę o Generale i łączę go wcale nie tylko z Monte Cassino, ale i z Katyniem.

Jedno z ostatnich wystąpień publicznych Generała, jeżeli nie ostatnie, to zebranie w Londynie w rocznicę Katynia. Generał przeprosił zebranych, że będzie mówił siedząc. Mówił bardzo cicho, wiedział, że ma nie tylko dni życia wyliczone, ale bicia serca. I może właśnie dlatego chciał jeszcze raz przemówić i wierność tamtym towarzyszom broni – poległym – zmanifestować.



Józef Czapski (1943 r.)

G. H.-G.: Kwestia ewakuacji z ZSSR. W argumentach za, używanych między innymi przez Generała, mówi się przeważnie o względach technicznych i wojskowych: zmniejszenie racji żywnościowych, trudności z uzbrojeniem i szkoleniem, groźba rozparcelowania jednostek polskich (co, rzecz jasna, musiałyby za sobą na dalszą metę pociągnąć łatwe do przewidzenia następstwa polityczne); Anders w ostatnim swoim wywiadzie [przeprowadzonym przez Benedykta Heydenkorna] na drugi jakby plan odsuwa opory psychiczne i moralne armii więźniów, przekonany, że można je było pokonać lub przynajmniej utrzymać pod kontrolą. Argumentacja przeciw, najlepiej reprezentowana przez profesora Kota, sprowadza cały problem do ambicji personalnych Generała:

„To co się stało jest winą grupy wyższych oficerów, a od pewnego momentu główną winą Andersa, który zapłonął, czy też dał w sobie rozpaść, ambicję rywalizacji z generałem Sikorskim i wycofania wojska polskiego z Rosji pod pozorem ratowania ludzi. Masa żołnierska w Rosji, wpatrzona w Sikorskiego, nie miała żadnych ambicji personalnych i byłaby poszła na każdy rozkaz i na każdy front. Masa ta, mimo krzywd doznanych od Rosji, wciąż pamiętała że pierwszą przyczyną nieszczęść był Hitler i najazd niemiecki... Straszanie później żołnierzy, co by się z nimi stało, gdyby poszli na front po stronie rosyjskiej, było dorabiane dla uspokojenia własnego sumienia”.

Według mnie i Anders, i Kot mówią tylko część prawdy. Co do pierwszego: przeszkody techniczne i wojskowe nie były najważniejsze; istotne były obawy polityczne, więcej niż uzasadnione w świetle doświadczeń, oraz opory psychiczne i moralne, które Anders przed śmiercią niepotrzebnie zepchnął jakby w cień; podejrzewam też, że nie był w swoim ostatnim wywiadzie zupełnie szczery, gdy zapewniał, że w okresie formowania dywizji

polskich w ZSSR jego ocena militarnych możliwości Rosji w starciu z Niemcami nie była skrajnie pesymistyczna; w rzeczywistości liczył się z klęską Rosji. Co do drugiego: jako należący do „masy żołnierskiej w Rosji” gotów jestem bez wahania przytaknąć Kotowi, że nie mieliśmy żadnych ambicji personalnych (?), że poszlibyśmy na każdy rozkaz i na każdy front, że pamiętaliśmy wciąż, co było główną przyczyną nieszczęść; ale nie takie to proste z tym „mimo krzywd doznanych od Rosji”; milczeliśmy na ogół (i z poczucia dyscypliny, i z lęku przed wszechobecnymi agentami bądź donosicielami NKWD), przeżywaliśmy jednak nieustannie w milczeniu te doznane krzywdy, czuliśmy się „na nieludzkiej ziemi” w fałszywej moralnie sytuacji; nie mogło być inaczej w armii złożonej z ofiar podboju i ucisku, na dodatek w większości z mieszkańców dalej przez Stalina kwestionowanej części państwa polskiego, toteż trudno przewidzieć, jak wojsko zachowałoby się u boku wczorajszego prześladowcy, przemienionego w ciągu jednej czerwcowej nocy 1941 roku w „sojusznika naszych sojuszników”; zresztą „gdybaniem” nie pisze się historii, wystarczy powiedzieć, że jeśli obowiązkiem dobrego dowódcy jest stawiać podległe mu wojsko w optymalnie znośnej sytuacji moralnej i psychologicznej, to Anders spełnił swój obowiązek wyprowadzając nas z Rosji. Nawiasem mówiąc, kiedy w latach pięćdziesiątych spotkałem w Londynie profesora Kota, nie był po wysłuchaniu moich opowiadań stuprocentowo pewien słuszności swego stanowiska.

Może wszyscy ci półżywi tułacze z łagrów i zesłania płakali pierwszego dnia po przebudzeniu w wojsku? Byliśmy armią więźniów dowodzoną przez więźnia i odbudowywaną za oporną zgodą nadzorców więziennych.

Pozostaje pytanie, co Anders wniósł do podstawowej sprawy stosunków polsko-sowieckich. Nic. Wolno wątpić, czy przy dobrych chęciach wniósł do niej więcej Sikorski, poza miotaniem się, które w momencie krótkotrwałej koniunktury dało jeden konkretny owoc: umożliwiło wydarcie z więzień, łagrów i zesłania stu tysięcy ludzi, wyprowadzonych potem przez Andersa do Persji. Przy lepszych jeszcze od Sikorskiego chęciach nie wniósł nic do stosunków czechosłowacko-sowieckich Benesz, poza odroczeniem wyroku na trzy lata. To nasze wspólne „nic” było konsekwencją sowieckiego „wszystko”. Rosyjski etap Andersa da się więc moim zdaniem podsumować tak: odpowiedzialny dowódca, nie polityk w warunkach, które nawet urzędową politykę polską zbliżały coraz bardziej ku kwadraturze koła.

J. Cz.: Poruszasz tu sprawy najbardziej kontrowersyjne: kwestię wyprowadzenia wojska z ZSSR i pobudek, które do tej decyzji doprowadziły, szeregu posunięć Generała, które nie zawsze szły po linii politycznych planów Sikorskiego i najbardziej Mu oddanego przedstawiciela, ambasadora Kota w Kujbyszewie. Nie ma dla

mnie wątpliwości, że u podstawy tarć, które już wówczas miały miejsce, była inna ocena sytuacji Sikorskiego i Andersa. Ten ostatni od pierwszej chwili był bardziej sceptyczny, gdy chodziło o możliwość lojalnej współpracy władz sowieckich z armią polską, ale ta nieufność dopiero po paru miesiącach wykrystalizowała u Andersa przekonanie, że stworzyć wojsko polskie bitne i zdolne do walki jest w warunkach sowieckich niemożliwe. A przecie Anders właśnie to wojsko bez broni, niedożywione, otoczone chmarą szpiclów, realizować rzetelnie próbował. Zdaje mi się, że nie doceniasz argumentu pierwszoplanowego, techniczno-wojskowego, ten argument był naturalnie nie wyłączny, ale ogromny.



Gen. Władysław Anders

Tu zacytuję spisane w swoim czasie rozmowy Andersa z rtm. Klimkowskim w maju czy czerwcu 1942 roku, w mojej obecności. Klimkowski nagle wystąpił, przy rannym śniadaniu, z tezą że wojsko polskie powinno przecie w Rosji pozostać.

"Nie gadaj mi głupstw - wybuchnął Anders - co za wojsko być może z 18 % ludzi chorych na kurzą ślepotę z powodu awitaminozy, bez broni, czy możesz sobie wyobrazić to wojsko inaczej jak wyłącznie «mięso armatnie» dla bolszewików?"

Wycucie nastrojów armii, *instynkt* dowódcy, który cechował Andersa, ustawiał go do ówczesnych zamierzeń „wielkiej” polityki wobec Rosji zawsze bardziej konkretnie; polityki, która tak często - w rzeczywistości - okazywała się nierealną fikcją. Argumentacja prof. Kota, zresztą dopiero po latach tak drastycznie

sformułowana, sprowadzająca wszystko do ambicji personalnych Andersa i jego z Sikorskim rywalizacji, nie wytrzymuje krytyki. Wysiłek Andersa w pierwszym etapie ku współpracy z Rosją, pomimo dzikich warunków, w których tę armię musiał tworzyć, był – zdaje się – szczery i całkowity. Przekonanie, że wyprowadzenie wojska z Rosji jest jedynym wyjściem, przeszło u niego przez długą inkubację, ale z chwilą, gdy to rozwiązanie zdało mu się jedynym, podjął je na całego, gotów się narazić Moskwie, Anglikom w Persji i rządowi naszemu w Londynie, stwarzając coraz to fakty dokonane. Dziś – patrząc z perspektywy lat – rosyjskie, jak mówisz, „wszystko” musiało przekreślić próby polityki wymagającej pozostawienia wojska w Rosji, tej polityki, którą ambasador Kot, wbrew wszystkiemu, chciał i do końca próbował realizować.

G. H.-G.: Byłem na Środkowym Wschodzie zwykłym żołnierzem, nie wiem więc nic pewnego o tarcjach czy spięciach między Andersem a Sikorskim. Może ty znasz te rzeczy dokładniej. Cały okres przed wyjazdem do Włoch układa mi się od strony „masy żołnierskiej” tak, jak pisałem na marginesie obchodu dwudziestopięciolecia Monte Cassino:

„Chcieliśmy bitwy, żyliśmy myślą o niej w Palestynie, w Iraku, w Egipcie, szkoląc się na pustyni, nasłuchując wiadomości z Polski.”

Brzmi to patetycznie, ale jest prawdą. Kiedy dziś zadaje się pytanie, czy w pięć miesięcy po Teheranie nasz udział w bitwie był wskazany, wzruszam ramionami. W tej bitwie było coś z pędu do oczyszczenia: z klęski, z poniewierki i cierpień, z niewoli, w jakiej żył kraj, z długiego pustynnego oczekiwania. Zaraz po przyjeździe z Egiptu do Włoch zachorowałem ciężko, po wypisaniu ze szpitala brytyjskiego pod Salerno gnałem nieprzytomnie do oddziału, żeby zdążyć, bardzo jeszcze osłabiony. *A propos:* pamiętasz może, że właśnie wtedy poznaliśmy się w Campobasso... Tak, to była i będzie dla mnie zawsze wielka bitwa, biliśmy się w niej pod komendą dobrego dowódcy. Ale pomińmy nastroje żołnierskie. Nawet politycznie Monte Cassino miało jeszcze swój sens, jako ostatnia próba realizacji churchillowskiego planu „bałkańskiego”. Kiedy po zdobyciu Rzymu całkowite i szybkie zwycięstwo w kampanii włoskiej znalazło się w naszym bezpośrednim zasięgu, kiedy dwadzieścia osiem dywizji Alexandra ścigało dwadzieścia jeden nadłamanych dywizji Kesselringa i mogliśmy spacerem prawie dojść do Alp stając u granic Środkowej Europy, wycofano na żądanie Eisenhowera i Marshalla siedem dywizji z Włoch do inwazji południowej Francji. Ostry pościg zamienił się w powolny marsz z przeszkodami front włoski ostygł i nabrał drugorzędного znaczenia. Dopiero wtedy stało się jasne, że plan „bałkański” wziął definitywnie w łeb. I dopiero wtedy wolno było zastanawiać się, czy nasz dalszy udział w ślamazarnej z konieczności kampanii włoskiej ma sens.



Józef Czapski i gen. Władysław Anders, Bagdad 1943 r. Zdjęcie ze zbiorów Instytutu Literackiego Kultura w Maisons-Laffitte.

Wyczucie nastrojów armii, *instynkt* dowódcy, który cechował Andersa, ustawiał go do ówczesnych zamierzeń „wielkiej” polityki wobec Rosji zawsze bardziej konkretnie; polityki, która tak często - w rzeczywistości - okazywała się nierealną fikcją.

Nie wiem, czy zastanawiał się nad tym na serio Anders. Wiem tylko, że odtąd „nasza wojna trojańska” na jej odcinku zachodnim ograniczyła się wyłącznie do symbolu i że wobec tego należało do końca symbolu pilnować. Po Jałcie nie pozostawało nam nic innego jak odmówić oddania broni Anglikom i zmusić ich, by nas na oczach świata internowali. Takie było założenie „buntu” 5 Dywizji, w którym maczałem palce. Anders był,

jak pamiętasz, oburzony. Myślę, że z dwóch powodów. Po pierwsze (co zresztą powiedział wprost dowódca 5 Dywizji, generałowi Sulikowi), spodziewał się rychłego wybuchu nowej wojny. Po drugie (co się jakoś wiąże z pierwszym), dbał mimo Jałty o niezadrażnianie stosunków z Anglikami. W moim przekonaniu zawiódł tu jako nasz dowódca, wykazał też słabe rozeznanie polityczne sytuacji międzynarodowej. Osobiście uważam za dość prawdopodobny wywiad w szwajcarskim dzienniku *Die Tat*. Można go wytłumaczyć właśnie tą dezorientacją polityczną (chyba, dodajmy sprawiedliwie, raczej nagminną wśród emigrantów) po zakończeniu drugiej wojny światowej.

O Londynie wolę nie mówić, chociaż mieszkałem tam pięć lat od roku 1947 do 1952. Wydaje mi się, że i wtedy, i potem Anders powinien był trzymać się na uboczu od „potępieńczych swarów”. Był jedynie wybitnym i bohaterskim dowódcą, po wojnie jego rola nie mogła się nie skończyć ustępując miejsca legendzie.

J. Cz.: Mówiąc o nastrojach masy żołnierskiej „chcieliśmy bitwy, żyliśmy myślą o niej w Palestynie, w Iraku, w Egipcie” – wspominasz o ówczesnych tarcjach i spięciach między Andersem i Sikorskim zaznaczając, że muszę więcej niż ty wiedzieć. Z natury rzeczy tak było. Ówczesne napięcie stosunków między Sikorskim i Andersem było całe oparte na nagminnej i gwałtownej w Korpusie krytyce polityki Sikorskiego wobec Rosji. Zarzucano mu miękkość, ustępliwość, każdemu, kto z Rosji wyszedł, zdawało się, że polityka sowiecka w stosunku do Polski wymagała reakcji zdecydowanych i gwałtownych. A tu jeszcze uderzył grom Katynia. Korpus, włącznie z Andersem, był nie tylko daleki geograficznie od Londynu; naciski rządu angielskiego na rząd polski, sytuacja rządu wobec polityki aliantów, dla których już wówczas niezadrażnianie Rosji było dogmatem, te elementy na Bliskim Wschodzie były niedoceniane. Klimkowski, wówczas adiutant Andersa, krystalizował prąd skrajnie antyrządowy w armii i tworzyć próbował wśród młodych oficerów ośrodek konspiracyjny, gwałtownie Sikorskiemu wrogi. Anders przez dłuższy czas tę akcję tolerował, uważając prawdopodobnie tę gorączkę młodych oficerów za pewnego rodzaju argument, atut w grze z Sikorskim. Cała jednak siła Klimkowskiego w armii była na tym oparta, że uważano go za tubę myśli i wskazań dowódcy. Gdy w pewnej chwili Klimkowski został z dnia na dzień z bliskiego otoczenia Andersa usunięty, przestał właściwie istnieć i konspiracja rozeszła się po kościach.

Dziś zdaje mi się, że był jeden tylko moment groźny, gdy sam Anders był zdecydowany powiedzieć naczelnemu wodzowi „nie”, i z tego wyciągnąć konsekwencje. W okresie gdy Sikorski zjechał na Bliski Wschód i na wielkiej odprawie oficerskiej, nie uprzedzając słowem Andersa, mówiąc o bliskim wyruszeniu armii do Włoch do walki, powiedział że Generał Anders będzie mógł wybrać – albo zachowanie nadal dowództwa nad wszystkimi siłami na Bliskim Wschodzie i we Włoszech, pozostając sam w Palestynie, lub zrzec się swego stanowiska i dowodzić wojskiem na polu walki. Tego rodzaju propozycja podziału i wyboru była kompletnym dla Andersa zaskoczeniem. Od tej chwili – do dnia gdy Sikorski w Bagdadzie z wojskiem się żegnał – przerwał z nim właściwie wszelkie rozmowy. „Mówiłem z nim o klimacie, o pejzażu, o kobietach” – powiedział mi Anders.



**Gustaw Herling-Grudziński -
zdjęcie NKWD, Grodno 1940 r.**

W Bagdadzie miała zapaść ostatnia decyzja, ale Sikorski wiedział, że Anders z dowództwa całością wojsk na wschodzie nie ustąpi dobrowolnie i że nie wyrzeknie się bezpośredniego dowodzenia akcją na froncie. Sikorski wtedy ustąpił. Kto znał Andersa, wiedział dobrze, że wolę władzy miał namiętą, nie był on podwładnym wygodnym i władzy, którą posiadał, nie był gotów stracić bez walki. Wówczas, na Bliskim Wschodzie, Sikorski był już człowiekiem zmęczonym, przeżartym odpowiedzialnością za całość sprawy polskiej, przejętym pragnieniem jedności wszystkich Polaków – pod jego dowództwem naturalnie, jego przy tym odruchy próżności, prawie dziecinne, nie zyskiwały mu zwolenników. Anders był u szczytu sił, ambicji i wiedział, że na wojsko na Bliskim Wschodzie może absolutnie liczyć. W Bagdadzie Sikorski to odczuł, wola Andersa zwyciężyła. Wódz Naczelny musiał wówczas docenić sytuację i on uratował wojsko od grożącej rozgrywki. Mimo woli przypomina mi się późniejsze moje, ostatnie z nim spotkanie w Kairze, tuż przed Gibraltarem. Powiedział mi wówczas:

„Niech Pan przyzna, że zrobiłem dobrze, że przyjechałem do was, wiele nieporozumień, wiele trudności udało mi się wyrównać. Trzeba koniecznie pracować razem, trzeba łagodzić rozdziewięki”.

Cóż ja mogę dodać o Monte Cassino, chyba jedno tylko: ataki prasy komunistycznej i nawet niekomunistycznej, że Anders rozrzutnie szafował krwią żołnierza dla swojej jedynie sławy, są głęboko krzywdzące. Nie zapomnę rozmowy z nim, parę tygodni przed bitwą, gdy wezwał mnie z Campobasso. Nie wiedziałem jeszcze nic o przyjęciu przez niego propozycji dowództwa angielskiego, że właśnie polskie oddziały miały przypuścić atak frontowy na Monte Cassino. Był małomówny, zamyślony i jakby zupełnie samotny. Widzę go jeszcze przed namiotem wśród oliwek – czy dobrze pamiętam, że na horyzoncie widniał profil klasztoru? Powiedział mi tylko: „Wiesz, wziąłem na siebie wielką odpowiedzialność” i nagle wydał mi się, w tej chwili, najgłębiej sobą: dowódcą, którego cała myśl była ustawiona w jednym kierunku – jak tę odpowiedzialność unieść, jak zadanie spełnić. Widziałem go szereg razy podczas toczącej się bitwy pod Monte

Cassino. Jego zadziwiający spokój w tym ogólnym, niesłychanym napięciu uderzał nas wszystkich.

Anders, ten oficer zawodowy, umiał – gdy to było potrzebne – przełamywać rutynę, przekreślać dystans między oficerem a żołnierzem, dystans, który niejeden oficer pragnął pogłębiać i usztywniać.

O tym co nazywasz „buntem” 5 Dywizji nie będę mówił, po prostu dlatego, że mam tu luki w pamięci. Przypominam sobie tylko, że w rozmowie mojej z Andersem wówczas wyczułem jego skrajnie negatywną reakcję na wszelkie próby manifestacji antyangielskiej, czy antyalianckiej. Był absolutnie przekonany, że lojalność naszą musimy zachować, bo wojna nie jest skończona, bo narastały dopiero decyzje polityczne, gdzie każdy bunt wojska mógł nam tylko zaszkodzić w oczach świata.

G. H.-G.: Któregoś dnia podwoziliśmy przed bitwą na mułach zaopatrzenie, nagle z boku wyskoczył łazik, siedział w nim Anders. Zasalutował nam, szybko i rzeczowo zadał kilka pytań. Było to moje jedyne zetknięcie z nim podczas wojny, jeśli nie liczyć dekoracji oficerów i żołnierzy w Anconie, w której asystował Sosnkowskiemu. Niewiele już z tego magnetycznego spojrzenia zostało, kiedy poznałem go w Londynie w roku 1968 i kiedy w rok później rozmawiałem z nim krótko na obchodzie dwudziestopięciolecia bitwy. Zachował świetną pamięć, ale były to jak gdyby przebłyski w rozszerzającej swój cień nieobecności. Widziałem umieranie mojego dawnego dowódcy.

Trzeba się cofnąć do punktu wyjścia, do felietonu Kijowskiego o majowym poranku warszawskim.

„Wszystkie poważne między nami konflikty wzbudzają echa tej wojny już dawno minionej, jakbyśmy z niej, niby z ukrytej siłowni, wciąż pobierali prądy, wstrząsy, bodźce.”

Jeżeli istotnie „siłownia”, to tylko w legendzie. Nie mogę nie zacytować końcowego fragmentu mojej noty z zeszłorocznej, październikowej Kultury:

Obchód montecassiński był ostatnim rozdziałem emigracji wojennej. Czytam w jednym z artykułów rocznicowych, że Polacy odczuwają „dreszcz dumy” na dźwięk nazwy Monte Cassino, bo jako „naród rycerski”

wyżej stawiają „walkę z otwartą przyłbicą” od „walki skrytej i podziemnej”, a „laur zwycięskich wodzów” wołają od „męczeństwa Trauguttów”. Nie znam się na niezmiennych psychologii narodów (zwłaszcza *ex definitione* „rycerskich”), wiem jednak, że Polakom pozostaje odtąd tylko droga walki mniej lub więcej skrytej i podziemnej. 15 sierpnia pożegnano na Monte Cassino pewną zamkniętą definitywnie epokę.”

23 maja tego roku położono na niej kamień grobowy z napisem: *Władysław Anders, Generał Broni, ur. 11. 8. 1892 w Błoniu, zm. 12. 5. 1970 w Londynie.*

J. CZ.: Ten kamień grobowy zamyka, jak mówisz, ostatni rozdział emigracji wojennej. Ale dziś właśnie należy przypomnieć, że Anders był również głównym budowniczym tej „małej Polski”, która powstała w Iraku i we Włoszech, jej ramy, jej sens głęboki przerastały czysto militarne zadanie wojska. Cóż to było ta „mała Polska” na Wschodzie?

Żołnierz z Rosji po latach sowieckich obozów, żołnierze z Tobruku, już z piękną kartą wojenną, kobiety-żołnierze, które odegrały taką rolę w służbie pomocniczej na wojnie, żołnierze-dzieci prawie, wśród których niejeden stał się w kołchozach powrotnym analfabetą.

Dzięki Andersowi powstaje w wojsku szeroko rozbudowana praca oświatowa: gimnazja, szkoły techniczne, w Palestynie, Egipcie, Libanie, potem we Włoszech. Pod koniec wojny około 4.000 młodzieży przebywa w gimnazjach i na uniwersytetach w Bejrucie, Rzymie, Mediolanie, Turynie. Jednocześnie Korpus tworzy, rozbudowuje dział wydawniczy: od setek pozycji podręczników szkolnych po literaturę klasyczną i nowoczesną, tomiki poetów Korpusu, albumy, aż po wydanie „Pana Tadeusza”, który rozchodzi się w 10.000 egzemplarzy.

Przed dowódcą stają jednocześnie problemy związane z tak różnorodnym składem narodowym wojska. To było wojsko w ogromnym procencie złożone z mniejszości narodowych, obok Litwinów – Ukraińcy, obok Białorusinów – Żydzi. W porozumieniu z Biskupem Gawliną, Anders każe drukować modlitewniki greko-katolickie, dopuszcza do wojska kapelanów ukraińskich, Ukraińcom, którzy w ZSSR, ze strachu przed NKWD i szowinistycznie nastawionymi oficerami, podali się za Polaków rzymsko-katolików, zezwala na poprawki i zmiany ewidencyjne. A sprawa żydowska w tym wojsku? Od Buzułuka dowódca w przemówieniach z całym naciskiem podkreśla, że wśród obywateli polskich, żołnierzy Rzeczypospolitej, nie ma i nie może być różnicy w traktowaniu. Czy więc nie było przejawów antysemityzmu, nawet krzywd drastycznych? Były, ale fałszem jest obciążać nimi Andersa, ileż razy byłem świadkiem, gdy właśnie Anders różne krzywdy tego rodzaju wyrównywał, czy przekreślał. Zakaz Andersa, dany nie tylko żandarmerii polskiej, ale i angielskiej, ścigania licznych żołnierzy-Żydów, którzy zdezerterowali z naszego wojska w Palestynie, jest charakterystyczny. „Oni mają podwójną lojalność: wobec Polski i wobec walki o Izrael - ich sprawą jest wybrać”. Ci, którzy w szeregach wojska zostali, walczyli z nami razem i niejeden leży dziś na cmentarzu Monte Cassino obok Polaków, Ukraińców, Białorusinów czy Litwinów. Anders, ten oficer zawodowy, umiał – gdy to było potrzebne – przełamywać rutynę, przekreślać dystans między oficerem a żołnierzem, dystans, który niejeden oficer pragnął pogłębiać i usztywniać. Nadanie np. szeregowym, pracownikom propagandy i oświaty, rang P.R.O. (*Public Relations Officer*) szło wbrew wszystkim tradycjom nie tylko polskiego, ale i angielskiego wojska.

W czasie kiedy w Polsce nie było ani jednego jawnego uniwersytetu, ani jednej jawnej szkoły średniej, ani jednego wydawnictwa, kiedy panowała maksymalna segregacja narodowa z wytępianiem fizycznym całego narodu żydowskiego na naszej ziemi – ta próba Generała Andersa stworzenia, w ramach wojska na obczyźnie, struktury społecznej żywej, mocnej i giętkiej zarazem w tradycji liberalnej, społeczności wielonarodowej, wielowyznaniowej, powinno zostać w naszej pamięci jako jego testament na przyszłość.

Tekst rozmowy ukazał się w paryskiej „Kulturze” (nr 7/274-8/275, 1970, s. 15-25)

Wprowadzenie dodane przez Redakcję.

COFNIJ SIĘ